Tom IX. Nr. 4.

1. Sierpnia 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Błogosławiony x. Staś Kazimierczyk.

W naszym Krakowie jest z dawien dawna tyle kościołów, żebyś mógł z nich do 40 far porobić i jeszczeby ci zostało dosyć to kaplic, to kościołków małych. Na jednem przedmieściu, co to się zowie Kazimierzów od króla polskiego Kazimierza Wielkiego, stoi ci tam kościół wielki, żebyś tam włożył i 40 chałup dobrych i wszystkoby się tam wlazło z kretesem, a ponoby jeszcze nie zapełnił go całego. Jestto kościoł Bożego ciała, a fundował go za swoje dukaty polski król Kazimierz. Alebo też i ciekawa historya jest do tego kościoła.

Była tam na tem miejscu wieś kmieca Bawół, a gazdowie tamci to ludzie nie lada, co im król powiedział, to było dla nich jak kazanie w kościele, a za króla i za Kraków toby byli w ogień skoczyli. I nie byłoci tam kościoła, jeno sobie ci gazdowie chodzili do miasta na nabożeństwo, ale zawsze pięknie, cicho jak się patrzy na gazdów rozumnych. Ale raz uradzili oni sobie, aby pójść razem z gromadą do króla Kazimierza i prosić go o wyfundowanie kościoła farnego, i przyszli sobie do

dworu, gdzie król siedział na drugiej wsi koło Krakowa w Łobzowie, i prosili aby też król sam z nimi pogadał. Król wyszedł do nich i pyta:

— A co tam nowego i ciekawego powiecie ojcowie!

— A cóżby nowego, miłościwy nasz królu i ojcze — rzekną gazdowie — ot! prosimy wszyscy o kościół farny dla naszej wsi, bo to i daleko mamy do kościoła, a jak się zrobi błoto u nas, to ani się rusz z chałupy, bobyś pogubił buty a zachlastał się po pas.

A wójt z gromady tak gadał:

— Bo to nasz królu i ojcze, coś dziwnego porobiło się tej nocy u nas, bo to w naszych błotach coś tak się świeciło i świeciło, jakbyś nieprzymierzając słoneczko boże zapchał do tego błota. Cała gromada była na nogach, a co było strachu i strapienia, to niech Pan Jezus ochrania każdego. Aż my tam wleźli i patrzymy, a to był kielich z jakiegoś kościoła i powiadali nam ludzie z Krakowa, że ten kielich mieli ukraść jacyś złodzieje i pono go zgubili, a może i umyślnie rzucili, ażeby tego nie zrobili, bo to grzech poniewierać takie święte rzeczy. To my też odesłali zaraz ten kielich do tego kościoła, gdzie go ukradli ci złodzieiska, ale my tego nie zrobili, niech nas ochrania Pan Jezus od takiego złego, to pewnie jakieś przywłoki i darmojady!

A król Kazimierz na to:

— Już ci złodzieje złapani, a ja każę wam wyfundować na tem miejscu, gdzieście wydobyli z błota ten kielich, kościół Bożego Ciała, a wy mi pomożecie porobić kanały różne w waszej gromadzie, aby wyschło błoto i abyście mieli porządek jak się patrzy, a jeżli mię posłuchacie, to z waszej wsi zrobię miasto, porobię kamienice, postawię wam ratusz, a wy wszyscy będziecie potem mieszczanami, będziecie należeć do Krakowa i będziecie z nami radzić o tem, aby nam wszystkim było dobrze, a Pan Jezus aby miał z nas chwałę i pociechę.

I podziękowali kmiecie za to swemu dobremu królowi, a potem ich wieś Bawół nazwała się Kazimierzowem, a oni odtąd zostali wszyscy od małego do wielkiego mieszczanami polskimi

i mieli także kościół farny, co to do dziś stoi na przedmieściu Kazimierzów i zowie się kościołem Bożego Ciała.

Otóż do tego kościoła garnęli się ludzie jak dobre dusze do nieba i modlili się za fundatora króla, co im postawił taki dom Boży, a ich z dziećmi i potomkami porobił na wieczne czasy mieszczanami i panami.

Jak sobie ten kościół stał jakie 50 roczków, a wszyscy kmiecie poprzebierali się po miejsku i pomurowali sobie domki i porobili ogrody i sady, byłci tam między nimi osobliwie jeden mieszczanin, co to miał i gruntu nie mało, i pracy dosyć, ale bo też i wartał tego chlebusia i takiego błogosławieństwa Bożego. Bo czy to święto, to on pierwszy raniutko sunie do fary i spiewa tam godzinki, różaniec, litanię, potem się spowiada i komunikuje i wychodzi ostatni, a byłci do tego najstarszym w bractwie, trzymał sobie gromnicę w ręce podczas sumy i całą sumę klęczał, spiewał i modlił się. A nie było tam domu, gdzieby on nie kumował po dwa i trzy razy, ani nie było sprawy, gdzieby on nie radził sprawiedliwie i pobożnie, ani nie było wesela i pogrzebu, gdzieby on nie był — to też nie było tam na włos obrazy bożej ani kłótni, ani pijaństwa gdzie ojciec pobożny Jan Kazimierczyk się znajdował.

Taką też podobniusieńką do niego była i jego kobiecina, broń Boże, aby kto z czeladzi robił co w święto, a nie miał się poco pokazować do dom, gdyby nie był na sumie i na nieszporach — a wszystko to musiało być w bractwie Przenajświętszego Sakramentu, bo im gadała tak:

— To nasz król pobożny Jagiełło i jego żona królowa należą do bractwa, a wybyście nie należeli? Toćby ten dobry król nadarmo pofundował taki klasztor przy naszej farze i nasprowadzał tyle xięży, aby dzień i noc spiewali pieśni do Najświętszego Sakramentu, a wybyście lenili się chwalić Pana Jezusa?

To też co żyło w domu, należało do bractwa, i musiało paciorki odmówić, pieśni odspiewać na pamięć, często się spowiadać i komunikować, jałmużnę dać ze swojego jedzenia, albo i chorego odwidzić albo drugiego nauczyć na pamięć różne modlitwy i pieśni. To też co święto uczył tam starszy

*

młodszego te pieśni, które xięża spiewali przed Najświętszym Sakramentem.

A ile razy sunął ojciec Jan do fary, ubrany po polsku w jasnej kapocie, opasany pasikiem i w palonych butach, tyle razy bieżało za nim malutkie chłopię z xiążką pod pachą, szkaplerzykiem i krzyżykiem na piersi, pięknie ogarnione i opasane, a był to synek ojca Jana pobożnego i miał na imię Staś, bo ojciec tak sobie mawiał:

— Na co tu wymyślać imiona dla polskich dzieci, kiedy my Polacy mamy tyle świętych męczenników naszych i patronów, co to pochodzą i z królów i panów a bardzo dużo z nas kmieciów i mieszczan!

To też i jego dzieci wszystkie miały na chrzcie św. same polskie i piękne imiona, i jego też synek zwał się Stasiem. Umiałoci to maleństwo już w 6 roku czytać i czytało pytlem każdy druk, a pieśni pobożne to spiewało z pamięci jakby z pisma, bo to matka wyuczyła het! razem z paciorkiem i przykazaniami. A rwało się do św. spowiedzi i komunii jak gołąbek do grochu, jeno ojciec pobożny nie pozwalał jeszcze — to też nie raz płakało to rzewnie biedactwo, kiedy widziało, jak cały dom komunikował się, a ono musiało klęczeć zdaleka ze złożonemi rączkami i nachylone ku ziemi. To też matka ocierając mu oczęta gadała:

— Poczekajno moje dziecko, jak się wyuczysz w szkole i odemnie o spowiedzi, jak będziesz dobre i pobożne, jak podrośniesz, to i ty będziesz się komunikował co 4 niedziel, a teraz weź lampę nalaną i zanieś ją kościelnemu, aby ją zaraz zapalił przed Najświętszym Sakramentem.

I poniósł Staś lampę do kościoła, długo sobie tam klęczał, odmówił paciorki i modlitwy i pieśni do Najświętszego Sakramentu, a potem uderzył trzy razy czołem o ziemię, pocałował ją, a chwaląc Przenajświętszy Sakrament wracał do domu uradowany, że zrobił dobrze.

A gdy to robili w domu wszyscy, że dawali część swego jedzenia na jałmużnę ubogim i nigdy nikt tam nie klął, ani się kłócił, jeno każdy pilnował swej roboty, i wystrzegał się coś złego wymówić, a broń Boże zrobić, to też i mały Staś

robił tak samo, przełamał bułkę na dwoje, dał zawsze połówkę ubogiemu dziadkowi, a czasem i obie połówki, a nie raz to prosił zapłakany matkę:

— Moja mamo! dajcie mi też grosz jeden, a ja go zaniosę pod kościół ciemnemu dziadkowi, co to wyspiewuje tak ładnie o Najświętszym Sakramencie! a mię zawsze przeżegna, ile razy mu co położę na rękę.

I dostałci grosz nie jeden od matki, której ani przez myśl nie przeszło, aby to żegnanie dziadusia pod kościołem mogło dla jej Stasia wyprosić u pana Jezusa nie tylko szczęście na ziemi, ale i koronę niebieską.

Jak Staś do szkoły chodził, to zawsze był pierwej pod farą, nim poszedł na naukę; tam zmówił paciorek, dał połowę śniadania dziadkowi, a gdy go dziaduś głaskał po głowinie, to Staś klęknął i mówił:

— Pobłogosław mię dziadusiu ciemny, choć mię nie widzisz i proś pana Jezusa, aby ze mnie było coś dobrego, abym był bogaty, a wtedy sto takich dziadków będę żywił.

I błogosławił dziaduś ciemny Stasia, a pan Jezus umacniał jego duszyczkę i serduszko i Staś się uczył dobrze, był najlepszym na całe przedmieście, ukończył szkoły i miał już zostać w domu przy ojcu, byłby został mieszczaninem, ale inaczej rozrządził pan Jezus, który wysłuchał modlitwę dziadusia ciemnego, a może i pobożnej matki, boć ta ofiarowała Stasia Najświętszej Pannie w kościele Panny Maryi, i miewała nieraz dziwne sny jakieś o swoim Stasiu.

A było to wtedy, że król Jagiełło przeniósł szkołę, co ją Kazimierz Wielki fundował na tem przedmieściu, aż w sam środek Krakowa, gdzie do dziś stoi, to też i Staś Kazimierczyk poszedł dalej do szkoły, i ogromnie się uczył po nocach, a choć miał dobre ćwierć mili z domu do szkoły, choć nieraz była bieda na dworze, to on nigdy nie opuścił szkoły, ani nabożeństwa w kościele, trapił się postami sam, a co mu zbyło to dawał ubogim — a matka jego dobra gadała mu:

— Moje dziecko! dobry jest grunt, dobre i rzemiosło jakie, ale nauka przyda ci się do wszystkiego; nie patrz na dom i pracę naszą, ale ucz się, bo kto umie dużo, ten zrobi dużo

dobrego, jak zechce i pan Jezus dopomoże, a najgorzej na świecie każdemu głupiemu. Kiedy jest szkoła blizko, tobyś miał grzech za to, jakbyś się nie chciał wyuczyć.

I słuchał Staś nauki matki i wyuczył się na xiędza, i ścisnął jej głowę na pierwszej mszy swojej, ale matka nie dożyła tego, kiedy jej Staś został profesorem w Krakowie, był bogatym, był ojcem dla dziadków i sierot i był tak dobrym w Krakowie, że go cały Kraków i cała polska ziemia znały z jego dobrego życia. Przeżył on króla Jagiełłę i Warneńczyka, boć za tych królów chodził on do szkoły, a za króla pobożnego Kazimierza Jagiellończyka został xiędzem, potem profesorem, a gdy się podstarzał, gdy drugich nauczył tego, co sam wiedział, gdy co miał rozdał ubogim pomyślał sobie:

— Gdzie się kto ulągnie, tam zawsze ciągnie; otóż i ja wrócę do kościoła Bożego Ciała, gdzie mię dziaduś ciemny żegnał, gdziem się pierwszy raz z rodzicami spowiadał i komunikował, wrócę do swojaków a będę ich uczył wszystkiego dobrego, dam im dobry przykład życia pobożnego i dopomogę nie jednemu biednemu, jak mi dopomógł król i królowa i sam pan Jezus z wysokiego nieba.

I wrócił do klasztoru przy kościele Bożego Ciała, został zakonnikiem, tam był spowiednikiem i kaznodzieją i gadał swojakom nie raz:

— Czem ja jestem i czem wy jesteście, to macie podziękować pobożnym królom polskim — to też pilnujcie tego, co oni dobrego zrobili i zaprowadzili w polskim kraju, a módlcie się za duszę takich królów, jakich nie było nigdzie na całym świecie, i proście pana Jezusa, abyście mieli takich ojców i fundatorów pobożnych na wieczne czasy. A wasze dziatki oddawajcie do szkoły, jaka jest czy to na wsi czy w mieście, a będzie miał i kraj pociechę i niebo chwałę z waszych dziatek. Widzicie, ja mieszczańskie dziecko, tak jak i wy sami, a jaka to różnica między nami, a to zrobiła moja nauka, a wasze niedbalstwo.

I żył ten błogosławiony człowiek wtedy w Krakowie kiedy żył i św. Jan Kanty i Szymon z Lipnicy i xiądz Świętosław u Panny Maryi i królewic Kazio, kiedy był i król Kazimierz

Jagiellończyk pobożny, a królowa Elżbieta, matka św. Kazimierza i 4 synów, co to potem byli wszyscy królami, znała dobrze xiędza Stasia Kazimierczyka przy kościele Bożego Ciała i była sama siostrą bractwa Najświętszego Sakramentu i spowiadała się nie raz z synami przed tym pobożnym xiędzem i mówiła królewiczom:

— Patrzcie! ani majątek ani ród nie pomógł mu, jeno jedna nauka dopomogła mu do takiego stanu, a resztę pobłogosławił pan Jezus i wyprosiła mu Najświętsza Panna.

I przeżył on 60 lat spełna, był 25 lat xiędzem i profesorem w Krakowie, a choć pochodził z mieszczan, to dla nauki i pobożności był wielce ceniony u ludzi i u Boga, potem był zakonnikiem przy Bożem Ciele 10 lat, i żyjąc z Bogiem umarł tak samo z Bogiem, roku 1489 w Krakowie, a duszę jego zaprowadził stróż Anioł przed pana Jezusa na sąd, a potem prościutko do nieba, a ciało jego leżało w tym kościele, gdzie był jako dziecko ochrzczony, gdzie się pierwszy raz spowiadał i komunikował, gdzie go ciemny dziaduś żegnał za jałmużnę, gdzie do mszy sługiwał, aż potem kardynał krakowski, xiądz Fryderyk a syn króla Kazimierza Jagiellończyka, co to zapamiętał trochę xiędza Stasia Kazimierczyka i odebrał z jego ręki błogosławieństwo, kazał dobyć ciało tego świętego i wystawił go ku czci Polaków.

Otóż i wy kmiecie i mieszczany bierzcie sobie przykład z tego świętego, uczcie wasze dzieci a będą i z nich ludzie, a mogą być i święci.

A ty święty patronie nasz! módl się do pana Jezusa i Najświętszej Panny za nami biedakami, abyśmy tak za życia mieli dobrze w naszym polskim kraju, jak było po tamte czasy, a po śmierci byli razem w niebie. Amen.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Jak to bywało?

(Stara spiewka z czasów pana Kościuszki.)

— Hej! hej! co to tam? — biją w dzwony głośno
Ludu pełno i świątecznie i wszystko radośno,

A to dziś nie święto przecie żadne uroczyste,
I co się to ludziom stało? Mocny Jezu Chryste!
Toć ja lat ośm setek żyję a jeszcze nie pomnę
W dzień zwyczajny zbiegowisko tak dziwnie ogromne.
Janku! Bartku co to zaś? czego tam lecicie?

— Zaś tatulu chodźcie z nami, sami obaczycie,
Oto idą strzelcy nasi i swarni ułani
A więc idą ludzie witać, chodźcie dla kompanii.

Poszli razem, a dziad stary jakby sił przybyło,
Biegnie żwawo, a nareszcie huknie całą siłą:

— Wiwat nasi, niechaj żyją! — i zapłakał stary,
I rzucił się i ze szlochem całował sztandary,
I mówił że z dawnych czasów pamięta tak samo,
Kiedy Moskwę i z Warszawy i z Polski wygnano.

Więc stanęli przed kościołem, i cisza nastała,
Xiądz odprawia mszę najświętszą, klęczy wiara cała,
I lud klęczy, i wraz wszyscy Bogu się kłonili,
Że za świętą jego łaską Moskali pobili.
Naostatek xiądz odczytał jakieś tam papiery
Pan naczelnik zaś człek dziwnie i zacny i szczery,
Pow e ludziom: Co xiądz czytał, wszystko prawda iście
Ja przysięgam, a więc Polska wolna oczywiście,
Każdy Polak wolny, równy; tych praw idziem bronić,
I was bracia i kraj cały przed Moskwą ochronić.

Krzykną ludzie: Wiwat nasi i niechże nam żyją,
I niechże nam Polskę bronią a Moskwę niech biją!
A potem już gwarno było i wesoło w siole
I noc całą po ścierniskach czuwały patrole,
I kompanię całą nową we wsi sformowano,
A nad raniem za chłopcami trochę popłakano.

Poszli, poszli, już kurzawa opadła na drodze,
I słoneczko hen wysoko już przypieka srodze,
A dziad stary zapłakany przed kościołem klęczy,
I modli się i do Boga we łzach wielkich jęczy:
Ojcze nasz, o wielki Panie! byłoć to tak było,
Ale już się dawno bardzo wszystko odmieniło,
Ojcze nasz! a toś nam kazał wierzyć w zmartwychwstanie,
Ojcze nasz! więc niech się wola twoja święta stanie!

Odważna dziewczyna.

Już temu dość dawno, gdy w jednej wiosce górskiej pod Karpatami mieszkali bardzo dobrzy państwo. Nie mieli oni dzieci, zaś majątek mieli bardzo piękny, to też nie zapominając na drugie przykazanie Boże, które powiada: Kochaj bliźniego twego jak siebie samego — czynili wiele dobrodziejstw.

Dwór tego państwa był jakby mieszkaniem dwoch aniołów. Pan dziedzic gospodarz co się zowie; pani zaś uczynna i nad podziw dobra kobiecina, tak umiała z mężem swoim przywiązać do siebie ludzi swej wioski, że na zawołanie gromadami garnęli się do dworu, bo wiedzieli, że tu pokrzywdzeni nie zostaną.

Cała wioska słuchała swego pana we wszystkiem i dobrze na tem wychodzila. W czem gromada nie mogła sobie poradzić, tam pewnie pan dziedzic dopomógł, i dla tego też wszystko było jak się należy. Więc za pomocą pańską naprawiła gmina kościół parafialny, wyfundowała szkółkę, w której się dzieci czytać i pisać uczyły, wystawiła gromadzki spichlerz, a pan dziedzic darował jeden domek na sieroty i kaleki, do których na koszt pana dziedzica co tydzień pan lekarz z miasta przyjeżdżał.

Zaś pani dziedziczka, chociaż sama słabowita, mimo deszczu i wiatru chodziła nieraz po domach i odwiedzała chorych, przynosząc im lepszej strawy albo lekarstwa ze swej apteczki domowej, bo kochała bardzo swych ludzi.

Dwór był dla każdego otwarty; to też pełno zawsze schodziło się ludzi po radę, często prosić o pożyczenie zboża na przednowku, kiedy jeszcze gromadzkiego spichlerza nie było, a niekiedy na zasiew, gdy nie jednemu brakowało, zaś nigdy się nie wydarzyło, żeby który gospodarz odszedł bez niczego. Ludzie przez wdzięczność pracowali we dworze pilnie i ochoczo, a Bóg błogosławił pracy — słudzy kochali swoją panią, bo też trzeba wyznać otwarcie, że ona co mogła to sługom robiła. Co młodszą i swarniejszą dziewuchę wydawała za mąż, parobków swatała z pracowitemi dziewczętami, dając im zawsze

co nieco na zapomogę, a co starsze sługi utrzymywała na łaskawym chlebie przez pamięć na ich długie lata wiernej uczciwej służby.

Po jednej tedy takiej starej słudze została się bardzo miła i urodziwa dziewczynka, której było Jadwisia na imię. Owoż spodobała się ona niezmiernie pani dziedziczce, i myśli sobie że szkoda takiej dziewczynki oddawać do ludzi, i lepiej zostawić ją u siebie. Kazała więc ją przywołać do siebie i mówi do niej:

— I cóż moja Jadwisiu zostaniesz ty u mnie, czy chcesz iść do ludzi na służbę?

Dziewcze rozpłakało się żałośnie, aż dopiero po chwili tak się odezwało:

— I kędyż bym ja poszła od wielmożnej pani?... Ja wolę bodaj przy krowach tutaj zostać, byle tylko nie chodzić nigdzie od tak miłosiernego państwa!...

— No nie płacz, moja Jadwisiu — odrzeknie pani dziedziczka — już nie pójdziesz nigdzie odemnie. Gdy się będziesz dobrze sprawowała, to cię każę czytać i pisać nauczyć, a i szycia jak będziesz miała ochotę.

Jadwisia upadła do nóg pani dziedziczce i całując jej stopy dziękowała za tak hojną łaskę i przyrzekała wszystko czynić co sobie tylko życzyć będzie.

Jakoż po roku dobra Jadwisia nauczyła się czytać i cokolwiek pisać; chwyciła się z wszelką pilnością do roboty: owoż i szyła nie źle i prasowała wszystką bieliznę pani dziedziczki, która się nie mogła nacieszyć jej zręcznością i wyborną posługą.

Odtąd Jadwisia w pokojach uważała na porządek i do kuchni zaglądała, czy we wszystkiem czystość i regularność. Zaś w niedzielę schludnie ubrana ze wszystkiemi sługami chodziła do kościoła, a po południu czytała im różne rzeczy z xiążek pani dziedziczki, za co ją też wszyscy bardzo polubili.

Przy tem wszystkiem była ona bardzo wierna i roztropna. Jak kiedy pani dziedziczka miała jaką sprawę do miasta lub kędyindziej, to Jadwisię wedle niej posłała, bo ona wszystko najlepiej zrobiła.

Owoż gdy już dłuższy czas u tego czcigodnego państwa posłużyła, zdarzyło się pewnego razu, że do sąsiedniej wsi trzeba było odsyłać wielkie pieniądze. A że pocztą tego sprawić nie było można, turbowała się pani dziedziczka kimby je posłać, ażeby się spiesznie i dobrze z tem uwinąć.

— Niech wielmożna pani mnie poszle — mówi Jadwisia — ja to już dobrze zrobię.

— Ej kiedy ja się boję ciebie posłać — odpowie pani dziedziczka — bo tu dużo pieniędzy, a może cię kto w drodze złapać, ta i obedrzeć i odebrać pieniądze.

— Przecież mi się to nigdy jeszcze nie wydarzyło — odrzeknie Jadwisia — to i tą razą uczynię jak się patrzy.

Wreszcie przystała na to pani dziedziczka, a dając jej pieniądze do ręki, kazała się jej ubrać. Właśnie w tym czasie gdy się ubierała, był tam stary dziad w kuchni i prosił o jałmużnę. Przysłuchiwał on się wszystkiemu uważnie, aż gdy mu Jadwisia kawałek chleba podała, aby się modlił do Opatrzności Boskiej, odszedł dalej.

Nie długo zebrała się Jadwisia, i przeżegnawszy się krzyżem świętym i zmówiwszy krótką modlitewką, wzięła list, w którym było 400 reńskich i ruszyła w drogę.

Po dobrym kawałku drogi, przyszła ona pod las, przez który prowadziła krótsza droga. W tem zachodzi jej drogę ten sam żebrak, któremu dała chleba i tak się jej pyta:

— A daleko ty idziesz dziewczynko?

— A tu do poblizkiej wioski — odpowiedziała Jadwisia.

— I bardzo ci się spieszy? — pyta znowu dziad.

— Oj tak mój dziaduniu, pilny mam interes — dodała.

— I ja też właśnie idę do tej wioski — mówi dziad — więc pójdziemy oboje razem. Wiem także krótszą drogę, to i prędzej zajdziemy.

— Dobrze mój dziadusiu, będzie mi nawet weselej, boć samej iść lasem zawsze nieprzyjemnie — rzekła Jadwisia.

I szli oboje przez różne krzaki i zarośla aż doszli do jednej dosyć wysokiej góry.

— Chodźmy teraz przez górę — powiada dziad — bo

tędy będzie nam bliżej, a za tą górą widać już wioskę, do której idziesz.

I usłuchała dobra dziewczynka starego dziada. Poszła za nim pod górę, ale gdy stanęli na wierzchołku, przystanął dziad nad ogromną przepaścią i okropnym głosem wyjmując z pod płaszcza grubą pałkę, zawołał:

— Chodź tu! oddaj pieniądze które niesiesz, bo cię tą pałką na miazgę zgruchotam!

Przytomna Jadwisia w tej chwili wyciągnęła list z zanadrza i oddawszy go dziadowi odchodzi.

— Stój! ani na krok z miejsca! — zawrzasnął dziad — i suknie na tobie są moje!

Jadwisia nie wiele myśląc stanęła przed dziadem i mówiła po cichu: Kto się w opiekę poda panu swemu — a on ściągał z niej wszystko, a co zdjął, układał na ziemi. Gdy już tylko w koszuli została, chce znowu odchodzić.

— I koszula moja! — huknął dziad — i począł ją odwiązywać.

W tem odważna Jadwisia widząc, że dziad na samej krawędzi okropnej przepaści stoi, pchnęła go silnie ręką sama się tyłem na ziemię rzucając — i dziad z okrutnym wrzaskiem spadł w głęboką przepaść, do której ona miała być rzuconą.

Ubrała się czemprędzej, podniosła list z pieniądzami, który także na ziemi leżał i spiesznym krokiem pobiegła do wioski, do której ją pani dziedziczka posłała.

Przenocowała tutaj i nikomu ani słowa o swej przygodzie nie wspomniawszy, znowu na drugi dzień piechotą odeszła do domu.

Pani dziedziczce jęła dopiero całe zdarzenie opowiadać, jak ją dziad obdzierał, jak go wtrąciła do przepaści i jak szczęśliwie doszła z pieniądzmi do drugiej wsi. Pani dziedziczka nie mogła się nadziwować odwadze i przytomności Jadwisi i niezmiernie się uradowała z jej szczęśliwego ocalenia. Kazała zaraz zaprzęgać konie i kilkoro ludzi pojechało z Jadwisią na ono miejsce, gdzie się jej ten przypadek wydarzył, i znaleźli tam mnóstwo podartych sukien, trupich głów i kości, a na nich

leżał zabity, okropnie pokaleczony dziad, który ludzi na ową górę wyprowadzał, a potem obdartych do przepaści spychał.

Co śmielsi parobcy zaczęli zabitego dziada przewracać i w tem odpadła z głowy jego peruka i broda, poczem zaraz poznali, że to był młody Tomek, który niegdyś służył u pani dziedziczki, która go za złodziejstwo i inne brzydkie rzeczy od siebie odpędziła. Przebrał się on potem za starego dziada i chodził po żebraninie. Niedaleko od tej jamy znaleźli jego chatę, w której mieszkał, ale w niej oprócz słomy i różnych gratów nic więcej nie było.

Od tego czasu polubiła pani dziedziczka Jadwisię jeszcze bardziej. Zaś we wsi jedni ludzie opowiadali o jej odwadze — drudzy mówili że zabiła człowieka, że niedobra dziewczyna, ale gdy im xiądz proboszcz rzecz wytłumaczył, że nie popełniła grzechu, bo tu chodziło o jej własne życie i innych ludzi, którychby jeszcze był zabił — przestali wygadywać i chwalili ją wszędzie.

A że to była dziewczynka przystojna i do rzeczy, wielu parobczaków i kmiecych synów zaprzątywało sobie Jadwisią głowę, ale pani dziedziczka za nikogo jej wydać nie chciała, bo ją dla chwackiego Marcinka, syna bardzo starego sługi Daniła, który miał pod panem Kościuszką pietnastu zabić Moskali, wychowała.

W kilka niedziel nastąpiły zmówiny a wkrótce znowu wesele. Pan dziedzic darował młodej parze kilka morgów pola, nowy domek z ogrodem, a także i kilkadziesiąt reńskich ofiarował Jadwisi na wiano.

Młodzi małżonkowie pracowali pilnie i nieustannie i dorobili się pięknego dobytku. Zaś jaka Jadwisia była dobra kobieta, to posłuchajcie co wam opowiem.

Razu jednego jechała ona na swoim wozie na targ do miasta. Powracając nazad niebo się zachmurzyło i okropna powstała burza. W drodze spotyka starego Dulisza, który był największym przeciwnikiem jej męża, albowiem kilka lat na zabój się z nim procesował o jakieś tam głupie rzeczy. Wiedziała ona o tem, jednak zapominając na nienawiść, złazi z wozu i usilnie prosi, aby wsiadł na wóz, bo przykro jej było

aby starzec o siwym włosie szedł po błocie. Dulisz tak pięknym uczynkiem Jadwisi do żywego wzruszony, pojechał z nią do samego domu, pojednał się z jej mężem i od tego czasu stał się jego najlepszym przyjacielem.

Zaś na owem miejscu gdzie było mieszkanie tego rozbójnika, wystawili Marcinowie krzyż święty, który do dziś dnia stoi na pamiątkę, aby każdy kto przejdzie tamtędy, westchnął i zmówił paciorek za dusze, które tu marnie i bez pojednania się z Bogiem zeszły ze świata.

Czcigodni państwo już dzisiaj nie żyją i Jadwisia to samo, ale dzieci jej żyją i opowiadają każdemu to zdarzenie jej matki, której wieczne odpoczywanie racz udzielić Boże!

Jak słyszałem, tak spisałem wam moje dziewczęta wiejskie ten prawdziwy przykład dobrej Jadwisi na naukę, abyście ją naśladowały w pilności i pracowitości i abyście wszystko czyniły z Bogiem, a wtedy polubią was dobrzy ludzie, Bóg błogosławić wam będzie i doda odwagi, że się wam nic złego nigdy nie stanie. *Józef z Bochni.*

Dobry gospodarz.

Pisałem wam niedawno moi mili o szczęściu, i powiedziałem wam, że szczęście jest w tem, aby wypełniać swoje obowiązki i starać się o zachowanie spokojnego sumienia. Także powiedziałem wam, iż wypełniać swoje obowiązki znaczy żyć uczciwie w tym stanie, w jakim każdy jest, sprawować wszystko porządnie co do niego należy, a najbardziej chwalić pana Boga uczciwie i pełnić jego święte przykazania. Każdy stan ma insze obowiązki i inszą pracę, więc o nich będzie mowa, a dziś o obowiązkach gospodarza.

Dla przykładu moi mili pokażę wam kilku gospodarzy, a sami powiecie, który z nich najlepszy.

Błażek wziął po ojcach piękną spuściznę: chałupę z gruntem jak folwarek jaki mały, dobytek dziwnie piękny, grosza gotowego dobry zapas, a w końcu zdrowe ręce i nogi. I cóż z tego wszystkiego! Zamiast pracować, zaczął się Błażek hul-

taić; słonko już dobrze przypieka, a on jeszcze spi; potem wstanie koło południa, napcha kiszki, wsadzi fajczysko w gębę, a dałej już do wieczora wyciąga się i ziewa tak okrótnie, żeby mu jak to mówią cielak wleźć mógł w gębę. O robotę nie troska się wcale, bo trzyma parobków i dziewki, a te wiedząc, że ich nikt nie dogląda, hultają się także a marnują pracę. No! zda mi się, iż o Błażku nikt nie powie, żeby to był dobry gospodarz.

Zaś teraz patrzcie na Jurka. Ten wziął po ojcach nie wielki majątek, ale jak się jął pracy, to już dziś prawie najbogatszy gospodarz we wsi. Nie doje on, nie dospi, ale zrywa się po zarankach i nocach, czuwa, pilnuje i wszędzie go pełno. Żadnego wydatku nie zrobi, a grosz nie dziesięć ale dwadzieścia razy obejrzy, nim go wyda. Jużci pieniędzy naskładał dość, dobytku dochował się pięknego, i wszystko byłoby dobrze, żeby nie jedna rzecz. Oto widzicie, Jurko myśli tylko o bogactwie a o niczem innem. Nie zważa on na sumienie i uczciwość, nie odda każdemu co mu się należy, więc i służbę nieraz krzywdzi, a już o miłosierdziu dla biednych nie ma tam zgoła mowy. Jurko nie ma czystego sumienia, nie podniesie oczu śmiało na ludzi, nie ucieszy się niczem i nie zaśmieje radośnie. Każdego podejrzywa, każdego ma za oszusta i złego, bo sam jest takim. Jak myślicie! czy Jurko może być szczęśliwym i czy to dobry gospodarz z niego?

Zaś jeszcze jeden przykład. Maciej to mi człek, co to go do rany przyłożyć jak mówią, a wnet ją zagoi. Zamożny to gospodarz jakich mało, ależbo i pracuje całe życie na to. Czeladzi trzyma dostatek, ale ją dogląda, próżnować i hultaić się nie pozwala, choć krzywdy żadnemu jeszcze w życiu swojem nie uczynił. Na wydatki uważa i oszczędza się gdzie można; ale w domu jest dostatek, głodem nikt ze skąpstwa nie przymiera, zaś dla każdego biedaka i kaleki znajdzie się jeszcze kęs chleba i łyżka strawy. I tak zawsze u niego. Skoro świt rozpoczyna się praca; Maciej sam daje dobry przykład. Przy pracy pożywienie dobre i smaczne, a spoczynek także jest w swoim czasie. Chwała Boża zawsze na pierwszem miejscu. Dla sług dobroć i sprawiedliwość; kiedy sługa pilny i uczciwy,

to o nim pamięta Maciej jakby o rodzonem dziecku; zaś kiedy hultaj jaki i nieroba, więc go zawczasu pędzi na cztery wiatry. Zaś sam Maciej człek taki miły, że aż spojrzeć nań warto. Wesoły zawsze, przekleństwa żadnego nie zna, słowem człek prawdziwie szczęśliwy.

No zda mi się, że Maciej najlepiej wam się ze wszystkich podoba Weźcież go sobie za przykład i pamiętajcie co dobry gospodarz powinien, a to jest:

Najpierw dbać o chwałę Bożą, i baczyć na to, aby w całym domu o nią dbano.

Dalej ma być prawdziwym gospodarzem a nie malowanym, więc ma wszystkiem rządzić uczciwie, na wszystko uważać, wszystkiego doglądnąć.

Dalej jeszcze ma także uważać na oszczędność. Pismo św. mówi: ›Módl się i pracuj‹, a do tego jeszcze dodać należy: ›i oszczędzaj.‹ Niepotrzebne wydatki uczą zbytków, a zbytek to już grzech, zaś jeden grzech prowadzi do drugiego. Otóż gdzie nie trza, tam się oszczędzaj, a tam gdzie trzeba, nie żałuj znowu nigdy.

Naostatek ma dobry gospodarz baczyć wiele na uczciwość. Gdzie jest jaka krzywda ludzka, gdzie jest łza sieroty albo wdowy, tam Bóg nigdy błogosławić nie będzie.

Takie to moi mili są obowiązki dobrego gospodarza.

RÓŻNOŚCI.

Dziwny mróz. Dnia 18 lipca w nocy był we wielu miejscach znaczny mróz. Hreczki i prosa pomarzły gdzieniegdzie tak, iż je musiano skosić na paszę. Także kartofle, ogórki i inne jarzyny ogrodowe pomarzły na wielu miejscach. Dziwna to rzecz, bo najstarsi ludzie nie zapamiętają, aby kiedy w lipcu bywały takie mrozy. Wartoby pomyśleć nad tem, czy to nie jest jaka kara Boża za grzechy, bo już tych grzechów dość jest między ludźmi.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**